

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 19 WRZEŚNIA 1915

NR. 8.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Przy palącym się moście.

Fot. W. Jeleniewski.

H. ZBIERZCHOWSKI: JESIEŃ.

WIEM ACH! WIEM,
 ŻE JESIEŃ SIĘ ZBLIŻA SMUTNA.
 MÓWIA MI O TEM LIŚCIE DRZEW
 ZWARZONE ŚMIERCI TCHEM,
 MÓWI MI WIATRU ZIMNY WIEW
 CO NOCĄ ŁKA,
 MÓWI MI O TEM MGŁA,
 SNUJĄCA BIAŁE PŁÓTNA
 WŚRÓD SINYCH PÓL,
 MÓWI MI O TEM TĘPY BÓL,
 UKRYTY WŚRÓD DUSZY GŁĘBIN,
 I KRAŚNE KORALE JARZEBIN
 PŁONACE W SŁOŃCU JAK KREW.

WIEM ACH! WIEM,
 PRÓŻNO TA MYŚL CHCE ODEGNAC,
 KOŃCZA SIĘ RADOŚĆ, SŁOŃCE, ŚPIEW
 ZWARZONE ŚMIERCI TCHEM.
 CZUJE JUŻ ZIMNY, MROŹNY WIEW,
 COŚ KOŃCZY SIĘ,
 COŚ WKRÓTCE ZGINIE W MGLE,
 TRZEBA SIĘ Z CZEMŚ POŻEGNAĆ.
 I TAKI ŻAŁ,
 ŻE SZCZĘŚCIE JUŻ ODCHODZI W DAL,
 I ZNIKA WŚRÓD NOCY GŁĘBIN.
 O! KRAŚNE KORALE JARZEBIN,
 PŁONACE W SŁOŃCU JAK KREW!

WIEM ACH! WIEM,
 ŻE GDZIEŚ, W TEN CZAS JESIENI
 GINA BRACIA, JAK LIŚCIE DRZEW
 ZWARZONE ŚMIERCI TCHEM.
 ŻE KAŻDY DZIEŃ TO KRWAWE SIEW.
 PRZEZ JAKIŚ CZAR
 WIDZĘ TYSIĄCE MAR
 KOROWÓD BLADYCH CIENI,
 JAK PŁYNA W DAL,
 WŁOKĄC SWĄ ROZPACZ, NEDZE, ŻAŁ,
 I NIKNA WŚRÓD NOCY GŁĘBIN.
 O! KRAŚNE KORALE JARZEBIN,
 PŁONACE W SŁOŃCU JAK KREW!

Z OPOWIADAŃ LEGIONISTÓW - SPISAŁ NEMO.

Stało się, że najpiękniejsze chwile roku 1914, czas powstawania Legionów, ich formacji, wreszcie pierwszych walk, spędziłem przymusowo zdala od Krakowa, Lwowa nawet, że czerpać musiałem wiadomości jedynie z bibuły i nie mogłem zbliżyć duszyczki mojej do tego wielkiego ogniska, u którego grzali się wówczas wszyscy.

Niezmiernie prędko, bo już dnia 8. września z. r. został Stryj, gdzie przebywałem, zalany Moskwicinem, a wycofanie się na teren austriacki jeszcze parę dni przedtem uniemożliwiono.

Com widział i przeżył, w miarę woli redaktora opowiem. Najbardziej dopiekało jednak czasu tej długiej, dziewięciomiesięcznej niewoli, owo odcięcie od swoich duchem, ta zupełna niemożność posłyszenia prawdziwej wieści o Legionach... konieczność picia zatrutej wody ze źródeł takich, jakimi były ówczesne pisma lwowskie, wychodzące pod rosyjską cenzurą.

Toteż z nieopisaną pożądlivością, zaraz po przyjeździe do Krakowa, rozpytywać zacząłem o wszystko co Legionów dotyczy, a opowieść jednego z mych dawnych przyjaciół, superarbitrowanego obecnie oficera Legionów, Emila Haeckera, który przeżył całą kampanię karpacką, zamieszczam poniżej.

Rozmowa nasza dotyczyła zrazu najróżniejszych przedmiotów, potem zesłała na pułkownika Zielińskiego.

Mój interlokutor nie miał dość słów pochwały dla tego, pełnego nieczmiernej prostoty, serdecznej rubasznosci w obejściu i ujmującej powierzchowności oficera. Oto własne, niemal wiernie powtórzone słowa jego.

Pierwszy raz zetknąłem się z pułkownikiem Zielińskim w miejscowości Borsza, na Węgrzech, w dniu rozpoczęcia ofensywy bukowińskiej. Było to dnia 17. stycznia bież. roku.

Przybyłem do Borszy z batalionem uzupełniającym, składającym się z dwu kompanii. W Borszy miała brygada Legionu nareszcie otrzymać upragniony i dawno obiecany odpoczynek dwutygodniowy. Z dworca kolejowego przemaszerowaliśmy do miasteczka, gdzie zameldowaliśmy się u komendanta dywizji, do której byliśmy przydzieleni.

Ekscelencya przyjął mnie uprzejmie i oświadczył, że przez czas jakiś pozostaniemy w Borszy, oraz kazał mi zameldować się u pułkownika Zielińskiego.

Poprowadziłem tedy batalion przed kwaterę pułkownika; tu zatrzymałem kolumnę na gościńcu, a sam wszedłem do środka.

Właśnie podawano objad.

Pułkownik wysoki, kościsty, niemal chudy, na pierwszy rzut oka żołnierz w każdym calu, spojrzał na mnie przenikliwie.

— A toś mi pan zjawił się w samą porę! — wykrzyknął. — O drugiej idziemy na Moskale.

Machinalnie spojrzałem na zegarek w branzoletce. Było wpół do pierwszej.

— Czy ludzie pańscy jedli? — pytał dalej pułkownik.

— Nie, panie pułkowniku! — odpowiedziałem.

Zwrócił się do oficera prowiantowego:

— Rozdaj im pan po konserwie! A pan — tu spojrzał na mnie — będziesz jadł tu z nami.

Wybiegłem przed dom, aby oficerów moich uwiadomić o rychłym wymarszu i wróciłem do kwatery.

Już mi nalano zupy na talerz aluminiowy.

— Jedz pan, jedz! — zachęcał pułkownik. Przez cztery dni najmniej nie będziesz pan nic jadł!

Pułkownik wymawiał wyrazy z mazurska, ton jego był zorstki, ale całe obejście cechowała ujmująca, porywająca wprost za serce prostota. Zakochałem się w nim odrazu.

Kapelan nalewał wino.

— Pij pan! Pij pan! — komenderował pułkownik, obok którego siedziałem. — Tam w górach wina nie dostaniesz!

W czasie objadu wypytywał mnie o kompanie, które mu przyprowadziłem i wydał co do nich potrzebne rozkazy.

Moją pozostawił pod moją komendą i wcielił w całości do batalionu trzeciego, w miejsce brakującej jedenastej, drugą podzielił do batalionów pierwszego i drugiego.

W godzinę później wymaszerowaliśmy z Borszy.

Szliśmy wprawdzie gościńcem, ale droga nieustannie wznosiła się w górę.

Mróz chwycił siarczysty.

Chłopcy moi poraz pierwszy w życiu szli w ogień i to w dodatku całkiem niespodzianie, bo przecież w Borszy mieliśmy pójść na kwatery, a tu odrazu, bez odpoczynku, kilku bodaj godzinnego przyszło im pomaszerować wprost na linię bojową.

Z przyjemnością jednak zauważyłem, że humory były u nich dobre.

Widocznie sprzykrzyło im się już przydługie nieco szkolenie na tyłach armii.

Pnąca się nieustannie w górę droga była bardzo nużąca.

Późnym wieczorem, po przebyciu jakichś mniej więcej czterdziestu kilometrów, przybyliśmy na górę Pr z y s ł o p, gdzie mieliśmy nocować. W niewielu chatkach oraz licznych i bardzo obszernych barakach zastaliśmy tam mnóstwo wojska. Ale dla nas kwatery już nie było. Po tak długim tedy i uciążliwym marszu musieli chłopcy moi nocować pod gołym niebem na śniegu i mrozie. Rozpalili więc ogniska i grzali się przy nich jak mogli, ale sprytniejsi wynaleźli sobie nieco lepsze noclegi; ten wkręcił się do jakiegoś baraku, ów do chalupy, inny wreszcie do stajni.

Jeden z moich oficerów, poległy później pod Łopuszną, Storożyński, wykrył chatę, w której nocował wspomniany przedtem generał i wprowadził tam mnie z paru innymi kolegami.

Ekscelencya i sztab jego spali w izbach chaty, w kuchni czuwali jeszcze ich ordynansi.

W tej to kuchni ogrzaliśmy się przy suto napalonym piecu, zgotowali konserwy i zrobili sobie herbaty, a posiliwszy się dostatecznie, postanowiliśmy jednomyślnie błogosławionej kuchni owej już nie opuszczać, lecz zanocować w niej... niech się co chce dzieje!

Łatwiej jednak postanowić niż wykonać; śnieg nanieiony na butach stał i zamienił całą kuchnię w stówek, mający około 3 cm. głębokości, a więc dosyć płytki, ale w każdym razie uniemożliwiało to położenie się na podłodze kuchni, reprezentowanej zresztą przez ubitą glinę.

Konieczność spoczynku była nieodporną, zaczęliśmy tedy brać się na sposoby.

Ułożył się tedy jeden misternie na trzech stołkach, drugi wlaź na jakąś półkę...

Ja przespalem się wysmienicie na pustej skrzynce

od nabojów, oparłszy stopy na niskim stołeczku, tak, że środkowa część mojej osoby ulokowana była w powietrzu.

Dla jednego z nas nie starczyło już absolutnie miejsca. Ale jest to chłop śmiały, czego dał dowód później pod Rokitną, gdzie odniósł zaszczytną ranę. Bez skrupułu wlaź tedy do izby, gdzie spał ekscelencya, wymacał tam po ciemku prostą ławę, wspaniałe futro ekscelencyi zwinął sobie pod głowę i wyspał się w ten sposób z komfortem niespodziewanym. O świcie przyszedł do kuchni umyć się.

Zbudził się ekscelencya ze smacznego snu i pierwsze jego spojrzenie padło na zmięte straszliwie futro, noszące na sobie wyraźne ślady użytku, do jakiego służyło przez noc. Zgorszył się ekscelencya zuchwałością śmiałka, który odważył się tak bez żadnego uszanowania postąpić z futrem generalskiem!

Złoczyńca ów mył się właśnie w najlepsze, gdy na progu drzwi wiodących z izby do kuchni stanął adiutant ekscelencyi i głośno zawołał po niemiecku:

— Który z panów ośmielił się spać na futrze ekscelencyi?

Po cichu zaś dodał:

— Niechże się ten pan już nie pokazuje. Ładnieby na tem wyszedł!

Nieraz później, na pozycyi, skracając sobie nudy najrozmaitszemi opowiadaniem, wspominaliśmy zabawną przygodę z futrem ekscelencyi i za każdym razem wspomnienie to wywoływało szczerą wesołość tych, którzy przeżyli i tych, którzy ją z naszych słyszeli ust.

Po przebyciu dalszych 40 kilometrów mniej więcej, znaleźliśmy się na pozycyi, na górach otaczających Kirlibabę.

Wiadomo ci, że miejscowość ta, leżąca na samej granicy Węgier i Bukowiny, stanowiła punkt wyjścia dla naszej ofensywy, która w dalszym swym przebiegu oczyściła z Moskali Bukowinę i Polesie.

Ach! Jakżeż zazdrościliśmy Moskałom ciepłych kwater w Kirlibabie, siedząc przez tydzień blisko w śniegu, bez dachu nad głową, na grzbiecie góry 1365 metrów wysokości.

Można sobie wyobrazić, jak było zimno w styczniowo mrozy.

Jama, wykopana w śniegu i pokryta choiną, nie dawała prawie żadnej zasłony od wiatru, tembardziej, że trzeba było pozostawić w niej wiele otworów, aby nie uwędzić się w smolnym dymie ogniska.

O noclegu takim, pojęcia mieć nie możesz. Z jednej strony przysypany żar, bijący od ognia, do którego każdy przysywał się jak mógł najbliżej, tak, że prawie wszyscy popalili sobie płaszcze i buty, z drugiej zaś mróz, dochodzący do dwudziestu stopni.

Człowiek przewracał się przez całą noc z boku na bok. Co się z jednej strony rozgrzeje, to druga stygnie. A przytem od ognia tajały obmarzłe kiście gałęzi świerkowych, stanowiące ażurowy strop naszych zaimprovizowanych kwater i drobny deszczyk uprzyjemniał nam spoczynek nocny.

Zdawałoby się, że takich niewygód organizm ludzki nie wytrzyma, jednak wytrzymałszy pięć takich nocy, a zważ przytem, że ludzie moi, byli to mizeroty, pomiędzy którymi było wielu piętnasto i szesnastoletnich chłopców.

Oczywiście niejeden zapadł tam na reumatyzm, bronchit i t. p. choroby, ogół jednak trzymał się doskonale.

Było chłodno i głodno, bo góra miała stok niezmiernie stromy, skutkiem czego dowóz prowiantu napotykał na trudności niezwykle. Ale humor nie opuszczał moich chłopaków, jakby to byli jacyś starzy żołnierze, zaharlowani i nawykli do zmiennych kolei życia żołnierskiego.

Na tej to górze objąłem komendę batalionu i poraz pierwszy poprowadziłem go w bój, w rocznicę wybuchu powstania, w nocy z 21 na 22 stycznia.

Na całe życie wryło mi się w duszę wspomnienie owej nocy. Był to obraz wspaniały, jakiego nie zobaczysz ani w teatrze, ani w kinie, obraz o nastroju pełnym nieopisanego czaru.

Idąc na czele batalionu, mogłem wzrokiem ogarnąć wszystko. Batalion wyciągnął się gęsiego i wił się jak długi wąż na zygzakach serpentyny pnącej się po stromem zboczcu góry, pokrytej całunem śniegu.

W srebrnym świetle księżyca odbijał wyraźnie długi szereg czarnych sylwetek. Na białym tle, wśród martwej ciszy, w której nie padło ani jedno słowo komendy, nie zabrzękła manierka o bagnet, snuliśmy się, jak korowód mar tajemniczych...

Ej! Dostaliśmy się też wtedy w ogień nieprzyjacielski!

Nie było się za czem ukryć. Dostrzeżono ten długi sznur czarnych sylwetek na śniegu, i zawarczały niebawem karabiny maszynowe.

Rzuciłem się na śnieg, a cały batalion powtórzył ten ruch.

Przeleciała nam nad głowami salwa.

Chwila ciszy... I znowu grzechot.

Potem kilka pojedynczych strzałów kulami eksplo-

dującymi, które miały za cel wymacanie odległości... i znowu salwy z karabinów maszynowych i ręcznych.

Potem chwila ciszy.

Zerwałem się na nogi, a za mną cały batalion bez słowa komendy... w najgłębszym milczeniu... jako upiorów gromada.

Ruszamy biegiem naprzód.

W mgnieniu oka, ze zdwojoną siłą zahuczały strzały.

Znowu rzuciłem się na śnieg... znowu naśladował mnie batalion.

Najgorsze było to, że na strzały nawet odpowiadać nie mogliśmy, bo absolutnie widać nie było dobrze ukrytego nieprzyjaciela, który nas doskonale widział i prażył ogniem.

Posuwając się po serpentynie, po kilka lub kilkanaście kroków i padając na śnieg co chwila ilekroć huragan kul rozszalał się nad naszymi głowami, dotarliśmy po jakiejś godzinie nareszcie do lasu, który nas po części osłonił.

Usłyszałem szept.

Maszerował tuż za mną piętnastoletni legionista, mniejszy od swego karabinu:

— Panie komendancie! Niech mnie pan pośle ku tym Moskałom. Jak mnie obaczą, to zaraz uciekną!

Widzisz więc, że humor nie ulotnił się nawet w tem groźnem położeniu.

Jeśli to słabe moje opowiadanie zdołało ci w ogólnych choćby, jeśli nie zarysach, to przynajmniej plamach, uzmysłwić urok i grozę owej nocy styczniowej, w której cudem prawdziwym batalion mój cało wyszedł z piekielnego ognia, to zrozumiesz, że do śmierci nie zapomnę, jak w roku 1915 obchodziłem rocznicę wybuchu powstania 1863 roku.



A. WAŚKOWSKI: BŁOGOSŁAW BOŻE.

KREW WSIĄKA W ROLE CZARNA,
POŻARY BIJA Z CHAT —
BŁOGOSŁAW BOŻE ZIARNO
I ŻNIWEM ZADZIWI ŚWIAT.

DO DUSZY SNY SIĘ GARNA
Z DALEKICH KEDYS LAT —
SIEW ONGIŚ W ROLE CZARNA
Z PRADZIADÓW KOŚĆMI PADŁ. —

NIE BYŁA SIEJBA MARNA,
BO BÓG SAM BYŁ JEJ RAD —
WIEC WNUKI DZISIAJ GARNA,
CO WCZORAJ POSIAŁ DZIAD.

I DZISIAJ ZASIEW PADŁ,
NA POLSKĄ ZIEM CMENTARNA
NIE BĘDZIE ZBIÓRKA MARNA
GDY SIEJBIE BÓG SAM RAD. —

KREW WSIĄKA W ROLE CZARNA,
POŻARY BIJA Z CHAT —
BŁOGOSŁAW BOŻE ZIARNO
I ŻNIWEM ZADZIWI ŚWIAT. —



A. GROTTGER.

POLONIA VI. OBRONA DWORU.

CO RANEK NOWYCH WDÓW SŁYSZYMY WRZASKI,
JĘK NOWYCH SIERÓT I NOWE BOLEŚCI
BIJĄ W SKLEP NIEBA, KTÓRY JE POWTARZA

.....
KRWAW SIĘ, O KRWAW SIĘ BIEDNA MOJA ZIEMIO!
WIELKA TYRANIO, GRUNTUJ SWĘ PODSTAWY,
UŻYWAJ ŚMIAŁO SWOICH NIEPRAWOŚCI —

..... O BIEDNA KRAINA,
ONA NIE MATKĄ, LECZ JEST GROBEM NASZYM... .

SHAKESPEARE: MACBETH.

<http://rcin.org.pl>

LUCYAN RYDEL: WILNO.

Lada dzień przynieść może światu wiadomość, że prastara stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego przestała nareszcie być gubernialnem miastem rosyjskiem. — To dalekie, a sercu polskiemu zawsze tak bliskie i umiłowane Wilno jest nam tem bliższe i miłsze dzisiaj, gdy wojną i jej okropnościami tak zagrożone, gdy się los jego waży i rozstrzyga. Od reszty polskiego świata rozbiorami odcięte i odgraniczone jak najszczelniej, z Litwą całą podawane za kraj „istimno russki“, prześladowane i gnębione w ciągu całego wieku bez przerwy i bez ulgi, zachowało po dziś dzień wiernie i statecznie swoją polskość i nie przestało być nigdy ważnym ogniskiem zachodniej kultury najdalej na północny-wschód wysuniętem. Przetrwowało i zostanie już na zawsze duchową stolicą wszystkiego, co na Litwie jest polskie.

Na przedwiośniu 1914 r., więc na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, byłem w Wilnie po raz pierwszy w życiu, więc obecnie, gdy przypadło rzucić garść historycznych wspomnień o Wilnie, mogę się odwołać do świeżych jeszcze, a przejmujących wrażeń, które odniosłem z tygodniowego pobytu w tem dziwnie pięknem a tak smutnem mieście. Ale naprzód pobieżny rys dziejów litewskiej stolicy.

I.

Mniejsza o to, że nauka nie zdołała dotąd wyświetlić początków miasta, że Szafarzik przypisuje założenie Wilna słowiańskim Wilkom i to jeszcze w II. w. po Chr., a Długosz wprawdzie Litwinom, ale ich czyni szczeniem rzymskim, przybyłym z Italii; że według innych przypuszczeń Wilno zawdzięcza swój początek Waregom. To pewna, że już w XI. w. władali miastem udzielni kniaziowie wileńscy. Narbutt domyśla się, że gdy w zamieszkach po Mindowsie czyli Mendogu, Krzyżacy zniszczyli główne uroczysko i świątynię pogańską Romowe, książę Swintorog przeniósł tutaj nad ujście Wilenki do Wilii świętości narodowe litewskiego po-

gaństwa, a jego syn, Gernont, spalił tu na pogrzebowym stosie zwłoki ojcowskie.

Założyciel nowej dynastyi i władca Litwy całej, Gedymin zbudował Wyżni zamek wileński w r. 1320, z czem wiąże się piękne podanie, zapisane w XVI w. u Strykowskiego. Na jednej z Lysych Gór przy ujściu Wilenki ubił Gedymin olbrzymiego tura, skąd poszła nazwa Turzej Góry. Po łowach książę nocował nad rzeką, na pogrzebowem zgliszczu Swintoroga i miał dziwny sen: oto na Turzej Górze widział ogromnego wilka, pancernego żelazną zbroją, a z gardzieli zwierza wychodziło wycie jakoby stu wilków. Najwyższy kapłan Lizdejko wyłożył Gedyminowi ten sen, przepowiadając, iż na Turzej Górze stanie gród warowny, a mieszkańcy jego szeroko zasłyną po świecie męstwem iście wilczem. Książę pobudował zamek, z którego po dziś dzień zostały szczątki murów i sześcioboczna, krępa wieżycza, na dole zaś obok świątyni Perkunasa i świętych zgliszcz pogrzebowych wznosił drugi zamek drewniany, zwany Niżnim albo Krzywym grodem i tam przeniósł Litwy stolicę z zamku na trockiem jeziorze. W trzy lata później, r. 1323, da się stwierdzić, że w Wilnie byli już osadnicy niemieccy, sprowadzeni z miast Hanzeatyckich przez Gedymina, który z nowej stolicy datuje odtąd listy do papieża, sąsiednich władców i do Zakonu. Jest nawet wzmianka o katolickich i greckich kaplicach w tem Wilnie Gedyminowem. Za jego syna Olgierda był nawet klasztor drewniany Franciszkanów, których Litwini wymordowali, a gdy część braci zakonnych uciekła na Lyse Góry, poganie dopadli ich tam i ukrzyżowali. Na tę pamiątkę na jednej z gór tych były postawione trzy krzyże drewniane, odnawiane co pokolenie, aż je rząd rosyjski usunął w r. 1866 i posadzono topole na owej Górze Trzech Krzyży. Olgierd ukarać kazał morderców i nowy zastęp Franciszkanów osadził przy kościele dziś exfranciszkańskim.



Widok Wilna.

Rys. Andriolli Muz. Czapskich.

Po jego śmierci w r. 1377 wstąpił na stolicę wielkksiążęcą syn Jagiello. Jego stryj, X. Trocki Kiejstut, podstępem kusił się o wydarcie bratańcowi stolicy i władzy zwierzchniej: wysłał do Wilna 300 swoich ludzi przebranych za kupców, 600 innych, zbrojnych, przewiózł ukrytych w wozach z sianem i skórami a sam w 100 koni podstąpił pod miasto. Powiodło się; Jagiello z matką swoją, siostrą Maryą i jej mężem Wojdyllą popadł w stryjowską niewolę. Wojdylla, pono zwolennik chrześcijaństwa, skończył na szubienicy, Jagiello jednak, dzięki przyjaźni Kiejstutowego syna Witolda, wyszedł cało; tylko rzec się musiał wielkksiążęczej władzy i otrzymał dzielnicowe księstwo ze stolicą w Krewie.

Ale nie dał za wygraną. Z pomocą Krzyżaków, których nieublaganym wrogiem był Kiejstut, opanował Jagiello Wilno w r. 1382, uwięził Kiejstuta i Witolda. Ten, w niewieściem przebraniu umknął z więzienia z pomocą swej żony, ale stary książę, zamknięty w zamkowej wieży na trockiem jeziorze, zginął uduszony srebrnym sznurem od oponczy. Jego ciało zostało spalone na zgłiszczu Swintoroga — był to ostatni pogański pogrzeb książęcy na Litwie.

W r. 1387 Jagiello przybył pospół z Jadwigą i orszakami Polaków duchownych i świeckich i począł apostołską pracę od obalenia pogańskich świętości, znajdujących się w najbliższem sąsiedztwie Niżniego grodu: rozwalono zgłiszczu Swintoroga, pod toporami padł ogromny dąb Perkunasa i stojący pod nim na kamiennej podstawie posąg boga, nie zostały się pobliskie mieszkania kapłanów, którzy uciekli w puszcze. Na całym

miejski t. z. prawo ryskie, bo na wzór miasta Rygi. Od r. 1387 całe mieszczaństwo wileńskie, więc litewskie, zarówno jak ruskie, otrzymuje nadanie prawa magdeburskiego.

Witold nie mógł przeboleć, że Jagiello wielkorządy powierzył bratu swemu, niedoależnemu Skirgajle, a jego zostawił tylko na Trokach. Chwycił się starej sztuczki. Pod pozorem, że na weselisko córki swej Ryngally z X. Henrykiem Mazowieckim prowadzi 300 wozów ze zwierzną i inną żywnością, ukrył w nich i do miasta chciał wprowadzić zbrojne swe hufce. Podstęp nie udał się i syn Kiejstuta uszedł do Krzyżaków, których naprowadził na Litwę. Ruszyła krucjata w 40.000 rycerzy pod wodzą Engelharda Rabe w r. 1390. Ale polska załoga z Mikołajem z Moskorzewa na czele zamknęła się na Wyżnim zamku i stawiała zacięty opór. Krzyżacy zdobyli Kowno, spalili Troki, rozgromili Skirgajłę między Werkami a Szeszkiną, zdobyli nawet Krzywy Zamek broniony przez brata Jagiellowego, Kazimierza Korygajla i rzeź okropną urządzili obrońcom — zamek Wyżni mimo to trzymał się ciągle, aż po pięciu tygodniach Engelhard Rabe musiał od oblężenia odstąpić. Warto wspomnieć, że w krucjacie tej brało także udział rycerstwo angielskie pod X. Henrykiem Bolingbrokiem, późniejszym królem Henrykiem IV Lancastrem.

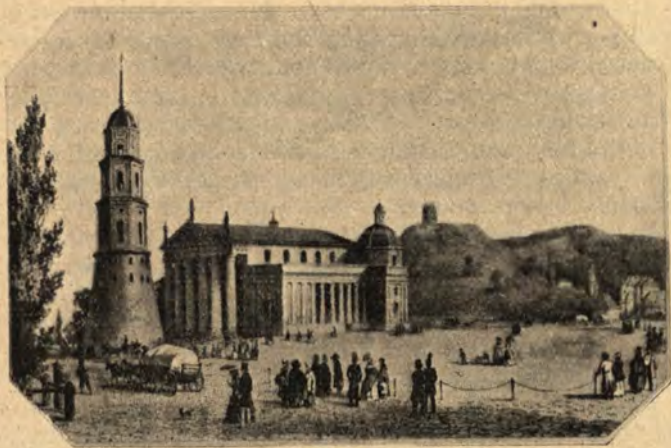
W dwa lata później Witold poduszczył do wojny z Litwą W. Mistrza Konrada Wallenroda. We wrześniu Krzyżactwo wpadło do Wilna i rozłożyło się obozem między Krzywym Grodem a kościołem franciszkańskim N. M. Panny; ale i tym razem Polacy, pod wodzą Oleśnickiego zmusili Zakon do cofnięcia się pod Kowno.

W tymże roku Jagiello pogodził się z Witoldem i oddał mu wielkorządy, a Skirgajłę usunął na Księstwo Kijowskie. Ale Krzyżacy przygotowywali już nową wyprawę, którą powiódł Konrad v. Jungingen. Spustoszywszy cały kraj między Kownem, Grodnem a Wilnem, obległ on stolicę, ale Witold opasał wojskiem Krzyżaków oblegających Wilno i po trzech tygodniach zmusił do układów o pokój.

Zgoda między Witoldem a Jagiellą była dziełem świętej pani, Jadwigi, ona to poważnionych zjednała i wyprosiła Witoldowi rządu nad Litwą. Rok jej zgonu 1399 zapisał się w dziejach stolicy okropnym pożarem, który strawił drewnianą jeszcze katedrę i cały jej skarbiec pochłoniął. Odbudowana świątynia wzbogaciła się jednak niebawem olbrzymimi łupami z pod Grunwaldu. Unia Horodelska przyniosła Litwie ważne zmiany, które zaznaczyły się dla Wilna utworzeniem województwa i kasztelanii wileńskiej.

Z tych czasów pochodzi wiele zajmujący opis Wilna przez flamandzkiego rycerza Gilberta de Lennoy. Szczególnie zaciekał go „zamek, położony bardzo wysoko na piaszczystej górze, otoczony kamieniem, ziemią i murem, a wewnątrz całkiem z drzewa zbudowany. Zstępuje zaś obręb rzeczonoego zamku z wierzchołka góry we dwie strony, zamknięty murem aż do dołu — w którym to obrębie jest wiele domów objętych. A w rzeczonym zamku i w jego obrębie przebywa zwyczajnie wspomniany X. Witold, władca Litwy i ma tam dwór i mieszkanie. A bieży blisko zamku rzeczka, która ciągnie i prowadzi swój bieg i swoje wody przez miasto na dole, która to rzeczka zowie się Wilna. A nie jest miasto zamknięte, ale długie i wąskie, z góry na dół, bardzo źle zbudowane, z domami drewnianymi, a są niektóre kościoły z cegły. Rzeczony zaś kasztel na górze wzniesiony na sposób muru“. (Lelewel: *Materyały do dziejów pol.*)

Wiadomo, że Witold aż po koniec życia marzył o ko-



Katedra i dzwonnica.

Lit. z r. 1852...

tem uroczysku pogańskiem założył Jagiello kościół katedralny pod wezwaniem św. Stanisława. Dzisiejsza dzwonnica katedralna o przysadzistym, okrągłym trzonie, to pogańskich czasów ostatni zabytek: ten jej trzon miał być podmurowaniem wieży, z której najwyższy kapłan ogłaszał ludowi wolę Bogów. W katedrze zaś pod wielkim ołtarzem, pokazuje loch, a w nim kilka głazów, na których podobno płonął wieczny ogień Perkunasa.

I na miejscu innych, dość licznych świątyń pogańskich w Wilnie, stały kościoły chrześcijańskie: św. Jana, św. Piotra i Pana Jezusa obok sapieżyńskiego pałacu; na zamku Wyżnim, nad spadziścieścią góry, gdzie później stanął kościół św. Marcina, była także pogańska świątynia. Pierwszym biskupem wileńskim został Andrzej Wasillo.

Miasto zaczęło się przeobrażać na wzór miast polskich: dotąd jedynie kupcy niemieccy mieli samorząd

ronie litewskiej, a w r. 1429, mając ją zapewnioną od cesarza Zygmunta Luxemburczyka, sprosił na koronację zastęp władców sąsiednich. Zjechali tedy do Wilna W. X. Moskiewski, Bazyli Słepy, Książęta Twerski, Ryażański, Odojowscy, metropolita Fokiusz, wojewoda wołoski Eljasz, W. Mistrz pruski Rusdorf i mistrz inflancki, XX. mazowieccy, hanowie tatarscy. Ale Jagiello, uprzedzony zawczasu, nie dał się zaskoczyć: nie dopuścił do przesłania korony przez kraje polskie, a sam z licznym zastępem niespodziewanie stanął pod Wilnem. Witold z Bazyliem Słepym wyszli na powitanie króla polskiego, który tak niewczesnym przyjazdem unieczystwił ambitne zamysły Witolda. Sędziwy władca Litwy zmarł w rok potem, 1430, w Trokach i w obecności Jagielly został pogrzebany w katedrze wileńskiej.

Po nim wielkorządy objął okrutny i niedołyżny brat jego Zygmunt Kiejstutowic, po dziesięciu latach zamordowany w Trokach, skutkiem spisku panów litewskich. Za jego czasów otrzymywało Wilno mnogie przywileje: prawo targowej wagi, postrzygalnię sukna, propinację miodu, piwa i wina. Dalsze i cenniejsze jeszcze spłynęły na stolicę za rządów Kazimierza Jagiellończyka, który place w mieście rozdawał panom litewskim, wskutek czego zabudowało się dworcami magnatów.

Od roku 1478 sprawował wielkorządy litewskie i w Wilnie mieszkał aż do zgonu św. Kazimierz, król lewicz, który stał się szczególnym patronem miasta.

Kaplica z jego relikwiami, przybudowana do katedry, a w XVII w. czarnymi wyłożona marmurami, jest jednym z najokazalszych zabytków kościelnego budownictwa wileńskiego: nawprost wejścia widnieje na ołtarzu srebrna barokowa trumna z klęczącą na wieku



Przeniesienie zwłok św. Kazimierza. Mal. Dankerts stalor. Muz. Czap.

postacią św. Patrona Litwy — a dokoła w czarnych, marmurowych niszach stoją drewniane, posrebrzane posągi królów polskich, konwencyonalne co prawda, i do historycznych postaci niepodobne. Może najcenniejszym dziełem sztuki w tej kaplicy są malowidła Dankiertsa, przedstawiające sceny z legendy św. Kazimierza.

Zygmuntowskie czasy są najświetniejszą epoką Wilna. Za panowania Zygmunta Starego miasto się rozrasta i muruje, król zakłada w Niżnim zamku bibliotekę, pierwszą w Wilnie, powstają w tym czasie drukarnie Jakóba Babiczka i Andrzeja Łaczyńskiego (1522 i 1533), a najdonioślejszym w dziejach Litwy i Wilna momentem jest nadanie Statutów W. X. Litewskiemu.

Od r. 1543 wielkorządy na Litwie sprawuje z ramienia swego rodzica, Zygmunt August, który do Wilna zjeżdża z młodziutką małżonką Elżbietą Habsburską. Jej przedwczesny zgon w rok po tem, dwór i miasto okrył żalobą. Jak wiadomo „Król Młody“ pocieszył się wkrótce miłością pięknej wdowy po Stanisławie Gasztołdzie. Tajemny ślub z Barbarą nastąpił jesienią r. 1547. W rok potem Zygmunt August zasiadł już na tronie ojcowskim.

W tym czasie zaczyna się szerzyć w Wilnie Reformacja, która ma gorliwego poplecznika w potężnym wojewodzie wileńskim, Mikołaju Radziwille Czarnym. Zakupuje on obszerny dwór na przedmieściu Łukiszkach i urządza w nim pierwszy zbor kalwiński w roku 1556. Biskup Wileński, Waleryan Protasewicz, tensam, który w katedrze wileńskiej daje ślub siostrze królewskiej Katarzynie Jagiellonce i Janowi Wazie X. Finlandyi — sprowadza do Wilna Jezuitów w r. 1569 i osadza ich przy kościele św. Jana, zdając na nich walkę z rozkrzewionem już bardzo innowierstwem. Batory w tej samej myśli popiera zakon Jezusowy i kollegium Jezuickie przekształca na Akademię, na wzór krakowskiej w r. 1577. Nowej Akademii ksiąg nie brakło, bo Jezuici wzięli spadkiem jedną bibliotekę po Zygmuncie Auguście, a drugą po biskupie Protasewiczu.

Z czasów Batorego budzi wspomnienia góra, zwana Bekieszową od Węgra Bekiesza, arianina, wiernego dworzanina królewskiego, który w Wilnie umarł i na jej szczycie pochowany został. Jeszcze w pierwszej połowie XIX w. stały tam szczątki grobowca, który król Stefan wnieść kazał ulubionemu słudze.

Pogromca Iwana Groźnego święcił w katedrze wileńskiej wspaniały tryumf w r. 1580: biskup Giedroyć, w obecności legata Caligario, wręczył Batoremu czapkę i miecz przysłany przez papieża Grzegorza XIII.

Upamiętniły się rządy króla Stefana jednym jeszcze, w dziejach Litwy niezmiernie doniosłym czynem: zaprowadzeniem Trybunału Litewskiego w Wilnie w r. 1584, zupełnie tak urządzonego jak Koronny.

Po świetnym rozkwicie Jagiellońskiej i Zygmuntowskiej epoki, za Wazów przychodzi zmierzch i upadek Wilna. Panowanie Zygmunta III jest na Litwie okresem walk religijnych. Do dawnej waśni między katolikami a reformowanymi, przybywa druga — między wyznawcami greckiej cerkwi, a zwolennikami Unii kościelnej, która powstała była właśnie w Brześciu w r. 1596. Znamiennym objawem tych czasów jest założenie w Wilnie obok dwóch dawniejszych, jeszcze dziesięciu dalszych drukarni, z których wychodzą bez końca jedne za drugimi, zwalczające się wzajemnie pamflety religijne.

Wśród tych zacieklých niesnasek wyznaniowych spa-

dają na miasto przerażające klęski: w r. 1602 okropny pożar, który strawił 4700 domów; oczywiście drewnianych przeważnie, ale co gorsza, dziesięć kościołów, katedrę i zamek królewski. Gorszą jeszcze klęską był mór, grasujący przez dwa lata (1624—1625). Trzecia część ludności Wilna wówczas wymarła.

Przy odbudowie miasta z pogorzeli w r. 1604 zyskuje Wilno jedną z najpiękniejszych swoich świątyń barokowych: kościół św. Kazimierza, wzniesiony staraniem króla, biskupa Wojny i Lwa Sapiehy. Osadzili przy nim Jezuitów. Teraz, kościół ten, zabrany na sobór prawosławny św. Mikołaja, a na szlachetnym jego frontonie barbarzyństwem wrzaskliwych kolorów rażą wzrok ohydne malatury ikonowe.

O kilkaset kroków dalej, przy ulicy Ostrobramskiej, drugi z tych czasów kościół św. Teresy, wzniesiony w r. 1526, po zarazie morowej, przez Stefana Paca, który w przyległym klasztorze osadził Karmelitów Bosych. Kościół i klasztor przytykają do słynnej Ostrej Bramy. O cudami słynącym obrazie Bogurodzicy do czasów owych glucho było w dziejach Wilna. Sam obraz nie wiadomo skąd się wziął i kiedy zaczął wyjątkowej czci zażywać. Dawniejsi badacze, jak J. I. Kraszewski, odnosili jego pochodzenie aż do VI w. Nowsze badania wykryły, że nie ma on z sztuką starochrześcijańską nic wspólnego i że jest dziełem późniejszej szkoły włoskiej z XVI w.

Nie podniosło się Wilno z upadku także za dwóch ostatnich Wazów, mimo, że Władysław IV rad przebywał w stolicy litewskiej, gdzie nawet zgon spotkał pierwszą jego małżonkę Cecylię Renatę (1644) i gdzie król, w kaplicy św. Kazimierza serce swoje po śmierci umieścić rozkazał.

Najokropniejsze, jeszcze smutniejsze niż dla całej Rzeczypospolitej, były dla Wilna czasy Jana Kazimierza. Podczas inwazyi szwedzkiej car Aleksy Michajłowicz zagarnął całą Litwę w r. 1654. Obu wileńskich zamków do upadłego broni Kazimierz Żeromski. Moskale w sierpniu wdzierają się do miasta i wyprawiają niesłychaną rzeź mieszkańców: 25.000 trupów zalega ulice zrabowanego miasta. Moskiewski wódz Daniel Myszacki, sroży się bez miłosierdzia nad pozostałą przy życiu ludnością, wyciska ogromne kontrybucye, setkami wozów uwozi do Rosyi bogactwa mieszczan wileńskich. Na dobitkę szaleje w mieście głód i morowe powietrze.

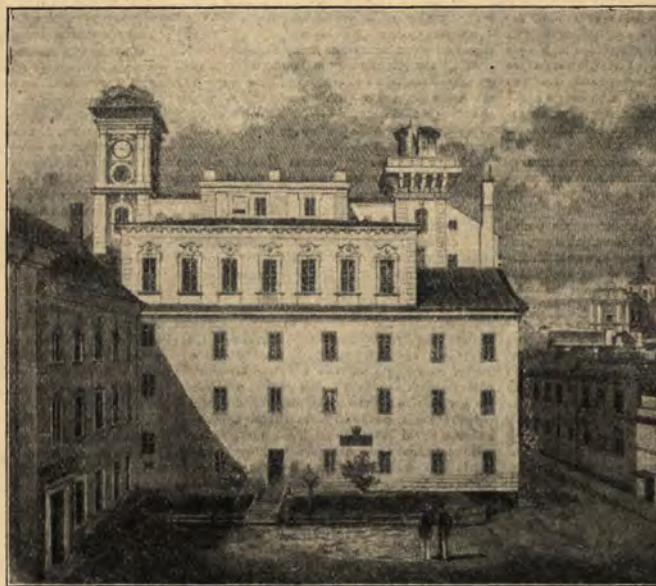
Hetman lit. Michał Pac nadciąga z wojskami, oblega Moskale, którzy zewsząd wyparci zamykają się na Wyżnim zamku. Na Wielkanoc r. 1661 poddaje się załoga moskiewska, Myszacki ginie, a Wilno po sześcioletnim najeździe barbarzyńców oddycha swobodniej. Król Jan Kazimierz ze łzami w oczach objeżdża gruzy i perzyny swojej stolicy litewskiej.

Wewnętrzne rozprzężenie Rzeczypospolitej ówczesnej zapisało się w historii Wilna rozruchami wojskowymi. Niewypłacona w terminie armia kwarciana rozpasala się tak, że w zawierusze zabici zostali Kazimierz Żeromski, hetman Gosiewski. Jan III napróżno chciał wskrzesić dawną świetność miasta i w tym celu zrównał je przywilejami z Krakowem. Początki XVIII w. były dla Wilna równie ciężkie jak dla całej Polski. Podczas wojny domowej grasują w niem Szwedzi, popierający Sasa, potem w r. 1708 zajmuje Wilno Karol XII z królem Stanisławem Leszczyńskim. Zniszczenia dopełnia w połowie tego stulecia znowu ogromny pożar w r. 1748.

I Wilno, jak cała Rzeczypospolita, dźwiga się z upadku za Stanisława Augusta. Miasto powoli odbudowuje się

i nabiera cech ówczesnego Stanisławowskiego stylu. Biskupi wileńscy, Zienkowicz, a po nim Massalski, przeprowadzają odbudowę zniszczonej katedry, której prastare mury, w duchu pseudoklasycyzmu przekształca i dekoruje piękną kolumnadą architekt Gucewicz (rok 1777). Jest on również budownikiem ratusza wileńskiego.

Epoka Oświecenia wyciska na wszystkim swoje piętno: stara Jezuicka Akademia przeistacza się w nowoczesną Szkołę Główną, która w pierwszej połowie XIX w. miała zajaśnieć takim wyjątkowym blaskiem.



B. Uniwersytet i obserwatorium astronom. Drzew. Krajewskiego Muz. Czap.

Ale równocześnie zbliżał się koniec Rzeczypospolitej. W r. 1788 wkraczają do Wilna wojska rosyjskie — zaczyna się noc niewoli. Jeszcze jeden, ostatni błysk, jeszcze jeden przedśmiertelny wielki poryw: Insurekcya Kościuszkowska w Koronie — na Litwie, w Wilnie powstanie generała Jakuba Jasińskiego w r. 1794. Lud wileński, podobnie jak warszawski, po wyparciu Moskali na szubienice wlecze ich adherentów: hetman Kosakowski i biskup Massalski dają gardło pod stryczek.

Wkrótce, bo już 1 czerwca jest Wilno ponownie w rękach rosyjskich. X. Repnin rozpoczyna urządowanie jako gubernator. Wilnianie patrzeć muszą jak w r. 1795 przejeżdża przez miasto pod strażą rosyjską zdeponowany Stanisław August.

Car Paweł I., a później w r. 1802 Aleksander, zjeżdżają do dawnej litewskiej stolicy, dla której nowe życie, jeśli już nie polityczne, to przynajmniej umysłowe, rozpoczyna się z chwilą, gdy kuratorem naukowego okręgu wileńskiego zostaje Adam Czartoryski. Jego zasługą jest rozwój uniwersytetu wileńskiego i jego nowożytna organizacya. Na czele staje rektor i czterech dziekanów, na katedrach zasiada 32 profesorów i 12 adjunktów (docentów). Roczne uposażenie uniwersytetu dochodzi do miliona rubli.

Nadchodzi r. 1812. Napoleon ciągnie na Moskwę. Na Cesarza Francuzów

Litwa nasza
Czekała długo jako żydzi Mesjasza.

Gdy się zbliżał, wyszli naprzeciw niemu wileńscy oby-

watele pod wodzą Imci Pana Lachnickiego i powitali go w Ponarach 28. czerwca. W wileńskim pałacu biskupim — później gubernatorskim — zamieszkał Napoleon i 16. lipca ruszył w dalszy pochód. Lato i jesień mijaly w trwożnym oczekiwaniu, aż 23. listopada, w mróz okropny, dochodzący 28°, przejechał pokonany „Bóg Wojny“ przez Wilno, zatrzymawszy się tylko dla przepiężenia koni. W ślad za nim ciągnęły niedobitki W. Armii, a na ich karkach jechali Moskale. W drodze ze Smorgoń do Wilna zginęło 20,000 Francuzów, re-

szta 60,000 weszła do miasta zgłodniała i obdarta i rzuciła się na magazyny, których rabunek trwał przez dni parę. Wilno zmieniło się w jeden olbrzymi szpital, bo wszelkie choroby zaczęły grasować tak strasznie, wśród niedobitków napoleońskich, że ich 15.000 wymarło.

Już 28. listopada zajęli miasto na nowo Moskale i oddał już bez przerwy ciężył nad Wilnem nieublagany, z każdym dziesiątkiem lat okropniejszy ucisk rosyjski, przez całe to oplakane stulecie. (C. d. n.)

Z RAPTULARZA WYPRAWY RATUNKOWEJ K.B.K.

Cale społeczeństwo polskie z wdzięcznością i podziwem przywykło już patrzeć na wyteżoną a tak owocną działalność Księcia Biskupa Sapiehy, który pełen chrześcijańskiego i obywatelskiego ducha, dobrał sobie do pomocy Komitet, rozwijający żywą czynność ratunkową w kraju tyłu kłeskami dotkniętym.

Ostatnim czynem X. Biskupa było stworzenie t. zw. „latających kolumn ratunkowych“, których zadaniem jest nieść pomoc okolicom nawiedzonym zaraźliwymi chorobami, a pozbawionym wszelkiej opieki lekarskiej.

Zbyteczne powtarzać tutaj — co już dzienniki podnosiły — że Książę Biskup raczył na rozwinięcie tego dzieła humanitarnego przeznaczyć nagrodę Jerzmanowskiego, która Jemu w bieżącym roku została przyznana. Nie potrzeba się również rozwodzić nad organizacją tej I. kolumny ratunkowej, która teraz właśnie tak dzielnie pracuje w Jarosławskim. Najlepiej całą tę zbożną i patriotyczną działalność maluje raptularz, uprzejmie nam udzielony przez p. M. E., przewodniczącą Panien Ekonomek krakowskich, która sama czynnie rękę przyłożyła do wprawienia w ruch wyprawy ratunkowej. Zamieszczając te zapiski, tak żywe i pełne bezpośrednich spostrzeżeń, uważamy za obowiązek podkreślić to jedno, że społeczeństwo nasze powinno nie tylko poczuwać się do gorącej wdzięczności wobec krakowskiego Arcypasterza, lecz także z całych sił Jego szlachetne przedsięwzięcie popierać, bo morze niewymownej nędzy ludzkiej, rozlane po całych obszarach kraju, wymaga pomocy doraźnej i wydajnej.

Wtorek, 24. sierpnia.

O godzinie wpół do szóstej wieczorem wyjazd z głównego dworca krakowskiego. Na dworcu zamieszanie; do ostatniej chwili nie wiadomo, czy pojedziemy zaraz, czy też dopiero w nocy, niema bowiem próżnego wagonu. Wyjeżdżamy nakoniec w następującym składzie: prof. Emil Godlewski młodszy, jako główny organizator, towarzyszy czasowo, do pierwszych miejscowości, dotkniętych zakaźnymi chorobami; Dr Władysław Bujak, lekarz I. grupy; kapelan X. Wincenty Kudzia; naczelna pielęgniarka p. Karolina Ringlerówna i dziesięć pielęgniarek: pp. Aniela Dukalówna, Wanda Filińska, Wacława Głogowska, Marya Głowacka, Halina Hofmannówna, Stanisława Klimuntowa, Antonina Kragenówna, Henryka Markiewiczówna, Helena Patykówówna, Krystyna Stawiarska; nadto jedzie kucharka, czterech sanitariuszów i pisząca te notatki.

Do Jarosławia przyjechaliśmy o wpół do drugiej nad ranem. Uchwalono rozpakować łóżka polowe i tak doczekać rana; że jednak dworzec naprawiają, przeto zważywszy piękną pogodę, roztasowaliśmy się w ogrodzie dworcowym. Ktoś tam, ku powszechnej ucieście, obawia



1 kolumna ratunkowa.

Fot. z nat. M. E.

się spania, za blisko jeszcze świeżej mogiły poległego, ale zdaje się, że inni także mają z powodu tego sąsiedztwa duszę cokolwiek na ramieniu.

Środa, 25. sierpnia.

Jednak spało się nam doskonale do wpół do 6. Po śniadaniu, gdy mamy wyruszyć do Zapalowa, pierwszej wsi, która jest najbliższym naszym celem — okazuje się, że z koni zamówionych przyszły tylko dwie pary. Zamierzamy tedy rekwirować resztę zaprzęgów do naszych wozów, co się po długich kłopotach udaje w końcu. Ale żyd, któremu chcemy zabrać konie, płacze i lamentuje, a Dr Bujak jeszcze bardziej od niego rozpacza, iż „zakładamy fundament naszej pracy na krzywdzie ludzkiej“. Wobec tego staje ostatecznie na tem, że X. kapelan zostanie z częścią naszych rzeczy i nazajutrz nadjedzie z końmi i z resztą pak, my zaś bierzemy tylko tyle, ile się da zmieścić na dwóch wozach, do których nadeszły konie.

Pójdą zatem z nami same najniezbędniejsze rzeczy. Przedewszystkiem dwa „szpitaliki“, z których każdy składa się z trzech pak: w jednej bielizna, koce i sieniaki dla chorych, w drugiej kuchnia, naczynia i przybory do gotowania, w trzeciej — apteka. Nadto jadą z nami namioty, żywność, nasze łóżka i plecaki; natomiast kuferki nasze i reszta pak pozostaną na razie na dworcu jarosławskim.

Na tych namysłach i naradach upłynęło pół dnia, tak, że przychodzi nam w Jarosławiu zjeść obiad. Wyjazd nastąpił dopiero o wpół do szóstej po południu. Trzy nasze pielęgniarki wybrały się piechotą. My zaś wszyscy inni jechaliśmy z umysłu za wozami pakunkowymi całą drogę noga za nogą, bo co chwila któraś z paczek

zlatywała z wozu, tak, że na 16 klm do Zapałowa potrzebowałimy siedmiu godzin i stanęliśmy na miejscu dopiero o wpół do pierwszej w nocy.

Po drodze, w Ryszkowej Woli odnaleźliśmy nasze trzy panny, które idąc piechotą, znalazły przytułek u dwóch Sióstr Miłosierdzia, utrzymujących tam szpitalik na ośmioro chorych tyfusowych. Pod wsią Zapałowem rozbiliśmy zaraz po przyjeździe dwa namioty: w większym nocowały pielęgniarki w mniejszym lekarze.

Czwartek, 26. sierpnia.

Od samego rana rozeszły się pielęgniarki wraz z Drem Bujakiem po wsi, by nawoływać ludzi do szczepień i zbadać stan zdrowia. Profesor Godlewski ze mną i z wójtem poszedł wypatrzeć, gdzieby najkorzystniej umieścić nasze namioty i szpital. Obraliśmy miejsce koło spalonego dworu, dzierzawcy p. bar. Potena: po jednej stronie, w głębi ogrodu stanie wielki namiot z chorymi, po drugiej, od dawnego zajazdu, nasze dwa małe namioty mieszkalne. Przenosiny odłożono jednak do dnia następnego. Tymczasem poszliśmy rozejrzeć się po wsi.

Zapałów w powiecie ciechanowskim jest wsią przeważnie rusińską, ma 2000 mieszkańców a w tem 600 Polaków, katolików. Przekonaliśmy się, że stan wsi jest rozpaczliwy. Z budynków ocalało tylko pięć chałup, a i z tych niema ani jednej mieszkalnej, naprawdę nieuszkodzonej. Dokoła same zgliszcza, z których sterczy tu i ówdzie komin, czasem piec ocalał i widzi się kobiety gotujące na nim strawę. Ludzie mieszkają różnie: mieszczą się w szalaszach i budkach skleconych z desek naprędcie i nieuszczelnie, najczęściej otwartych, tj. bez jednej lub dwu ścian; nieraz gnieźdzą się w norach i jamach napół podziemnych, przykrytych płachtami lub słomą czy kawałkiem blachy, oderwanej z jakiego dworskiego dachu. Ludzie nie mają się z czego odbudować, a także brak tu rąk do pracy.

część ludności wymarła na cholere: najgorzej miało być w lipcu:

Teraz cholera już wygasła prawie, za to niema nory — bo nie można powiedzieć „domu“ — gdzieby nie było przynajmniej jednego przypadku tyfusu — wszystkie niemal ciężkie. Wśród dzieci grasuje czerwonka, zdarza się szkarlatyna, ospa, ciężka malarya, itd. Spotykamy kobietę, która przyprowadza dziecko chore na oczy.

— Sześcioro miałam — powiada — wszystkie zmarły na cholere, ta jedna została. Jednego wieczora troje zachorowało;

Mówi to cicho, spokojnie, z rezygnacją...

W innym kącie wsi kobieta z sześciorgiem dzieci ocalała, gdy sąsiedzi z prawej i z lewej strony wymarli na cholere. Ona jedna się ostała z dziećmi — ale dom nie. Dachu nad głową nie mają. W jednej szopie czworo dzieci zostało bez rodziców: matka umarła, ojciec na wojnie — najmłodsze z tych biedactw ma sześć miesięcy.

Tam znowu dalej bawią się na łóżku dzieci, jedno dwuletnie, drugie pięcioletnie, a dogląda ich dwoje starszych;

Te sieroty, dzięki K.

B. K. zostaną w tych dniach przewiezione do Krzeszowic. Tam znowu kobieta straciła i męża i syna — a wszystkie one mówią o swem nieszczęściu z największym spokojem i godnością.

Wszyscy o jedno się proszą: aby naprawić kościół,

a w każdym razie uzyskać to przynajmniej, by nabożeństwo znów się w nim odprawiało. Proszą o to Dra Bujaka, jedni przez drugich, skarżąc się:

— Zruszczemy! Tyłu nas wyginęło na cholere i inne choroby, tyłu na wojnie padło i nawet Boga nam tu mieć nie wolno ani księdza do odprawiania Mszy św.!



Kościół w Zapałowie.

Fot. z nat. M. E.

Wielka była radość, gdy się dowiedzieli, że w niedzielę odprawi nasz kapelan Mszę św. — a my postaramy się o stałe pozwolenie na nabożeństwo.

Opowiadają,

Moskale wywieźli proboszcza, wikaremu zaś tylko z Laszek dojeżdżać wolno. Wikary ów, X. Czerkies, którego poznałam później, potwierdził opowiadanie ludu.

Znów cudowny wieczór, a ruiny dworu, otoczone grobami poległych, sprawiają wstrząsające wrażenie. Spoczywamy na laurach; około 300 ludzi zaszczepionych i paru mamy już pewnych kandydatów do szpitala, który utworzy się jutro w namiocie. Układając się do snu, słyszemy odgłosy strzałów: to naboże, rozsiadane pó polach, wybuchają z hukiem. By zapobiedz wypadkom, niestety codziennym prawie — kazaly władze przy niewystrzelonych szrapnelach i bombach ustawić tyczki z wiechciami słomy, niby strachy na wróble, albo umieszczać napisy ostrzegające.

Piątek, 27. sierpnia.

Dziś przenieśliśmy się w poblize dworu. Rozbiliśmy drugi duży namiot i pod wieczór leży już 17 chorych pod opieką pp. Stawiarskiej i Hofmanówny. Kapelana z końmi jak nie widać tak nie widać; jedzie więc po niego prof. Godlewski do Jarosławia. My zaś przez cały

ranek szczepimy, a potem chodzimy po wsi. W pobliskim przysiółku znajdujemy ciężki przypadek tyfusu ze skrzepem w nodze i 40° gorączki: młoda kobieta z obcej wsi z małym dwuletnim dzieckiem. Mąż na wojnie; ona znalazła przytułek w otwartej szopie na garstce siana, a za ten marny kąt gotuje strawę chłopom, którzy dom pobliski odbudowują. Napróżno chcemy ją zabrać do szpitala nawet razem z dzieckiem; ona się boi, że zanim wyzdrowieje, straci miejsce, ten mizerny kącik. Straszmy ją, że umrzeć może od skrzepu ciągle chodząc; straszmy chłopów, że się od niej zarażą tyfusem — wszystko napróżno.

W innej norze mąż ma tyfus, a żona go napędza, by szedł orać. Wprawdzie rano zemdlął jej w polu, ale to jej nie wzrusza: uparta Rusinka! Obiecujemy opiekę, dobre jedzenie, rosół.

— Na szczyby rosół? — Jemu nie potrzeba, tytkoby się przyzwyczail, a jakby wrócił do domu, tem ciężej mu będzie bez rosółu.

Oto jak rozumują. Jedno tylko działa na nich magicznie — że wszystko bezpłatne. Ale najbardziejby chcieli „ziółek“, bo te „najwięcej pomagają“.

Mnóstwo się zgłasza ambulatoryjnych chorych: stłuczenia, rany, choroby oczne itd.

Po południu posyła mi Dr. Bujak kartkę, żebym pojechała z opatrunkiem do rannego chłopaka; zabieram gazę, watę i bandaż, siadam w towarzyszką na wóz i jazda! Pędzimy co koń wyskoczy 5 klm. Po drodze mityguję woźnicę, a ten krótko mi odpowiada, że milsza mu „detynka“, niż konie. Przestraszona odpowiedział, wypytuję się i dowiaduję, że dwunastoletni chłopiec znalazł w polu karabin, zajrzał do lufy... ładunek wypalił i chłopiec leży bez przytomności. Przyjeżdżamy we wsi Krucheniny do zagrody (niespalonej!); w podwórzu na pierzynach leży chłopczyna z dwiema dziurami w głowie i wysadzonem okiem — nieprzytomny. Zdejmuję z rany brudną szinatę, przemywam zlekką sublimatem i założywszy opatrunek, decyduję się chłopca zabrać mimo ciężkiego stanu. Na tychsamych pierzynach kładziemy go na dno wozu i wracamy stępa do Zapalowa. W nocy się chłopcu polepszyło o tyle, że nazajutrz kazał go doktor odwieść do szpitala w Jarosławiu.

Wieczorem wrócił profesor z X. Kudzią, końmi i resztą pak, — Jęden kuferek (naturalnie mój!) rozbił się po drodze, bo spadł z wozu i wszystko się rozsypało; ale przyjąłam to statecznie do wiadomości.

Kładziemy się spać z dziwnie przykrem wrażeniem; przy tych ruinach dworu czuć trupi zapach; pewno staw „zaludniony“ albo otaczające nas groby zbyt płytkie.

Sobota, 28. sierpnia.

Dziś znów szczepienie i zewsząd nam zwożą chorych, a w szpitalu już miejsca niema. Okropnie żal odmawiać. Upatrujemy więc budynek na szpital — dawne czworaki dworskie — ale tylko trzy pokoje są możliwe, chociaż co prawda i te bez okien drzwi i pieców; nad resztą niema dachu.

X. kapelan jedzie po południu do Laszek rozmówić się z wikarym-administratorem o nabożeństwo, profesor zaś do Oleszyc, gdzie ma być nasza centrala, by się na miejscu rozejrzeć i wywiedzieć o wszystkim. Ja z profesorem jadę do Ryszkowej Woli odwiedzić Siostry Miłosierdzia, z których jedna moja znajoma od św. Łazarza w Krakowie. Zarazem obejrzą ich szpitalik, gdzie profesor po drodze bada chorych i obiecuje przesłać lekarstwa oraz najpotrzebniejsze sprzęty. Radby także

wyrobić dla tego szpitalika jakie wyposażenie od KBK. (Jakoż uzyskał potem na ten cel 400 kor. na bieliznę, lekarstwa itp.).

Niedziela, 29. sierpnia.

Rano o 10-tej odprawił X. kapelan sumę z kazaniem w napół rozwalonym kościółku. Jedną ścianę poprawiły dziewczęta wiejskie, szrapnel bowiem wpadł i wybił ogromną dziurę. Okna zasłoniłyśmy kocami, by świece nie gasły. Razem z dziewczętami ubieramy ołtarz w polne kwiaty, a za wazony służą nam wystrzelone szrapnele. Wszystko po wojennemu!

Gdy ostrzegłem ludzi, aby raczej stali zewnątrz kościoła wobec możliwego oberwania się powały lub cegieł, odrzekli mi, że się nie boją śmierci w kościele — owszem, wołają niż na chorobę zmrzeć lub na wojnie zginąć.

Nabożeństwo wzruszające; podczas Podniesienia cała ludność w głos zapłakała, my także po cichu. Po południu



Poświęcenie grobów.

Fot. z nat. M. E.

dniu, po niesporach poszedł z nimi nasz kapelan na cmentarz, aby świeże groby poświęcić, przyczem kobiety ogromnie zawodziły z rusińska.

— Mamy chłopca chorego na szkarlatynę, a że nie może być z tyfusowymi, więc umieściliśmy go w ruinach dworu, w pokoju bez drzwi, okien i dachu. W drugim, nielepszym jest skład naszych pak, w trzecim kuchnia. Druga kuchnia, polowa, ustawiona przed domem, dostarcza nam przez cały dzień wody gotowanej a ludności herbaty: kto przyjdzie — dostaje.

Poniedziałek, 30. sierpnia.

Profesor był w Starem Siole i obrał tamtejszą szkołę na szpital. Jest tam jeszcze nieco cholery, a dużo tyfusu.

Po południu wielki tu zjazd: przybyli starosta, fizyk, inżynier powiatowy. Starosta zebrałszy ludność, przyrzekł pożyczkę na odbudowę wsi. Woleliby — jak powiadają — materiał budowlany za darmo. Rząd przeznaczył na cały powiat 100.000 kor. Baraki, które się od wczesnej wiosny budują, mają być wykończone i użyte na przezimowanie ludności. Ale w nich zmieści się może siedem rodzin.

Czworaki dworskie nam wyporządzić mają; a tymczasem sanitaryusz nasz Kropelnicki pozbiierał możliwe jeszcze dachówki i pokrywa niemi dziury w dachu, by umożliwić jak najrychlejsze przeniesienie tam chorych. Nad wieczorem rozszalała się burza z piorunami

i ulewnym deszczem, który trwał całą noc i pół następnego dnia.

Wtorek, 31. sierpnia.

Mimo że namioty okopane były rowem, wszystko wzdłuż ścian zamokło, w środku zaś narobiło się pełno błota. Sienniki chorych przemokły. Jednym słowem: rozpacz — i koniec idylli!

We wtorek dziś, suszenie na gwałt wszystkiego, skoro tylko deszcz ustał; potem urządzenie czworaków.

Pielęgniarka mająca dyżur nocny w ruinach przy szkarlatynie, zażyła strachu z powodu „nastrojowej“ nocy z piorunami i zwidywał ciężko chorego chłopca, który majaczył, że go Moskale gonią i chcą zabić.

Wogóle zapisali się oni okropnie w pamięci tutejszej ludności polskiej, a nawet i rusińskiej. Zabierali wszystko i wszystko niszczyli; ani jedna kura się nie ostała.

Po południu prof. Godlewski odjechał do Krakowa a X. Kapelan z jedną pielęgniarką do Starego Siola.

Środa, 1. września.

Dzisiaj zawiązało się tutaj Stowarzyszenie Św. Wincenego à Paulo dla dziewcząt wiejskich; liczy ono pięć członków, a na przewodniczącą obrano Józefę Popieluchównę. Mają pomagać w miarę sił naszym pielęgniarkom, które wyuczą je higieny i pielęgniarstwa aby po naszym odjeździe prowadzić dalej dzieło miłosierdzia,

obsługiwać chorych i opiekować się ubogimi. Pozatem takie stowarzyszenie przyniesie samym dziewczętom duchowe i moralne korzyści.

Zaczęła się uroczystość od Mszy św. — a zaraz potem stowarzyszone jęły nam siarczyście pomagać w oczyszczaniu przyszłego szpitala i przenoszeniu chorych. Szpital przedstawia się wcale ładnie i dziś już znalazło w nim pomieszczenie 24 chorych. W jednym pokoju leży chorzy, w dwóch innych ciężkie przypadki tyfusu; osobno mężczyźni, osobno kobiety. W środku pustej pokój — rodzaj składu naczyń i pokoik obserwacyjny, gdzie leży chłopiec chory na szkarlatynę, któremu polepszyło się znacznie. Druga część domu w tej chwili jeszcze nie jest pokryta dachem; będzie w niej pokój pielęgniarek, łazienka, a raczej tusz i ...trupiarka — daj Boże niepotrzebna! Przed objadem odwiedzałam po „domach“ dziewczęta należące do Tow. Św. Wincenego à Paulo. Jedna tylko mieszka pod dachem w chałupie, wszystkie inne po norach i szopach. Przewodniczącej, Józji Popieluchównie został się z całego urządzenia domowego tylko jeden stół i... trochę doniczek z kwiatami, które starannie pielęgnuje — oraz maszyna do szycia, którą Moskale odkopali byli z ziemi, stolik od niej odłupali i spalili. Po drodze widziałam rzecz nie prawdopodobną: ludzi mieszkających w beczkach, jak Dyogenes!



Mieszkania w beczkach.

Fot. z nat. M. E.

Wieczorem odjechała p. Kragenówna do Starego Siola z urządzeniem szpitalnym na dwadzieścia łóżek. Tu postanowiono dodać jeszcze na stałe p. Głowacką, szpital bowiem obliczamy na trzydzieści łóżek — i p. Filińską do szczepienia ludności i zajęć ambulatoryjnych.

Czwartek, 2. września.

Po Mszy św. X. kapelan poświęcił szpitalik i udzielił Komunii św. niektórym chorym. Pielęgniarki odmawiają z chorymi pacierze rano i wieczór.

Dr. Bujak wyprawił dziś trzy pielęgniarki, medyczki, do dalszej wsi, Polanki, aby tam przez dziś wyszczepiły całą ludność.

W południe odjeżdżam z X. Kudzią do Jarosławia: Książd jedzie po mięso i mąkę, bo tu nie mamy co jeść. Spostrzegłszy to pocziwie nasze stowarzyszone dziewczęta, przyniosły nam w darze wór ziemniaków, sporo mleka i ogórków.

Ludność tutejsza wogóle dużo mleka nosi dla chorych, ale jaj zupełnie tu nie dostanie, tak, że je trzeba sprowadzać aż z Jarosławia.

Z zalem odjeżdżam, bo tu praca prawdziwie miła i wydatna. Reszta naszej kolumny wkrótce wyruszy do Oleszyc a stamtąd znowu dwie pielęgniarki wyprawią się do Krowicy, gdzie w razie potrzeby założony będzie dalszy znowu szpitalik.

J. PIETRZYCKI: POLSKIM ŻOŁNIERZOM.

USTROIM KIEDYŚ W CUDNĄ WSPOMNIEN ŚLAWĘ
WASZE PROPORCE I PAŁASZE RDZAWE
I IMION WASZYCH BĘDIEM POCZET ŚWIĘTY
CZCIC, JAKO KRWAWE POLSKI SAKRAMENTY...

BOWIEM W DZIEŃ SIEJBY — DZIEŃ, MOZEM DŁUGI,
O WASZE KOŚCI DŹWIEKNA NASZE PŁUGI
I W PROCH KRWI WASZEJ — RZUCIM W ZIEMIĘ CZARNA
DLA NOWEJ POLSKI ZŁOTE, POLSKIE ZIARNO...

NOWE KARTY W DZIEJACH LEGIONÓW.



Nad Bugiem.

Fot. T. Langer

PRZEJŚCIE PRZEZ BUG.

Dnia 19. sierpnia na kilka stajni przed Bugiem skoncentrowała się cała brygada Piłsudskiego, którą od tygodnia prowadzi podpułk. K. Sosnkowski. Na obszer-nych polach, szcztokowanych ścierniskiem zżętych zboż, rozwinęła się ta armia, w której każdy żołnierz starczy za stu. Więc waleczne lwia odwaga i krzemienią odpornością sławne szeregi piechoty. Trzy pułki — kilka tysięcy ludzi zaledwie, kilkanaście karabinów maszynowych, niecałe trzy setki wozów, a przecie cudownie wprost rozmnożyły się z tych 160 strzelców i jednego wozu... przed rokiem, na początku kieleckiej kampanii. Z pięciu strzelców Beliny, dziś 3 piękne szwadrony ułanów, blisko 500 koni, hasa po polu nad-bużańskim. Dalej w środku tych szwadronów, od tygodnia zaledwie funkcyjująca k o n n a b a t e r y a. Tradycje Bema wskrzeszone. — Major Brzoza i rotmistrz Belina stworzyli tę baterię, otaczając ją czułą opieką i staraniem bez granic.

Tam sunie długi wąż artyleryjski. Baterie, wslawione bojami pod Krzywopłotami, Marcinkowicami, Nowym Sączem, Pisarzową, Limanową, ostatnio pod Jastko-

wem. A dalej kompania saperów z pontonami własnymi, pluton telefoniczny...

Serce rośnie na widok tej rewii zaimprovizowanej.

Na czoło brygady wyjeżdża sztab. Brygada rozwija się w długą kolumnę pochodową. Za sztabem 3 szwadrony ułanów, dalej orkiestra na czele I. pułku. Stara orkiestra z Kielc. Kielecka straż ogniowa oddała nam swoją orkiestrę przed rokiem... Dalej II i III pułk, artyleria i wojska pomocnicze — a wszystko związane „laborami swoich wozów“.

„Hej Strzelcy wraz!“ — Przed rokiem na ulicach Kielc, Częstochowy, Piotrkowa i Łodzi, jakże inaczej ten marsz brzmiał. Dziś słycać zwycięstwo w tonach tej pieśni strzeleckiej nad Bugiem.

Długą, kilka-kilometrową kolumną podchodziła brygada ku rzece. W promieniach zachodzącego słońca błysnęły trąbki 8-miu ułanów-sygnalistów. W niebo, na pola, łąki i lasy uderzyły srebrzyste sygnały kawaleryjskie. Zdawało się, iż ziemia Królestwa przesyła pożegnanie swym dzieciom.

Radosny smutek dźwięczał w sygnałach.



Brzegi Bugu.

Fot. T. Langer.



Przeprawa przez Bug.

Fot. T. Langer.

Rozkaz. Za Bug, na Litwę. Nieledwie szlakiem napoleońskim. Nieledwie przejście przez Niemen. Srebrzystą wstęgę wód Bugu powitała orkiestra nasza marszem Dąbrowskiego.

Majestatycznie, noga za nogą, weszli na pontonowy most kawalerzyści, prowadząc pojedynczo konie.

Na wysokim przeciwnym brzegu wkrótce stanął na koniach sztab.

Widoku, niezapomniany widoku!

Szły te szeregi ukochane jedno za drugimi. Szły długo, godzinami.

Dywizyjna orkiestra austriacka grała wesołe marsze na widok naszych, przybywających oddziałów. Odpo-

wiadały jej sygnały Beliniaków i smutne marsze naszej orkiestry.

Wysokie krzyże litewskie strzelały w niebo czerwone od łun pożarnych.

I pomyśleć tylko, że niezłomna wola jednego człowieka zmusiła ten naród od pół wieku w niewoli jęczący do czynu zbrojnego, do postawienia wbrew obawie i wygodnej „neutralności“ tych kilku tysięcy polskich żołnierzy, którzy dziś przekroczyli Bug.

Marzenie pradziadów spełnione. Marzenie 1830 roku!



Na moście przez Bug.

Fot. T. Langer.

Pokłoni się Warszawa — Wilnu.

Z Lublina idziemy na Litwę.

Niemirów nad Bugiem, 16. sierpnia 1915. M. Dąbrowski.

FRANCISZEK PIK: OPŁACIŁO SIĘ.

— Za późno! — krzyknąłem w głos, nie wiedząc, komu się żałac.

Biegłem przez pole poryte kulami armatnimi, poprecinanane wężykami transzei. Okraczałem z trudem niezmiernym jakieś dziwne zwaliska cegieł, coś, co przed niedawnym czasem mogło być taborem piekarni polowych, wpadałem z zniechęcią w wysokie kępy pokrzyw i stawałem z rozpaczą w duszy, okryty zimnym potem wyczerpania i strachu. Wielka blaszanka mleka, jaką udało mi się napelnić w oddalonej chacie, jedyne pożywienie dla moich ...tam w mieście, na długie może dni, ciążyła mi bardzo. Drut jej wcisnął się w ramię i palił za każdym krokiem boleśniej.

Dzień był jasny, upalny, letni. Od całych tygodni ni kropli deszczu, bo chmury uciekły stąd przerażone strzałami, jak stado gołębi, kędyś w szczęśliwszej stronie. Wszelka wyraźna zieleń znikła. Szare, zmiętoszone, skopane kępy trawy, jak włosy na głowie zmasakrowanego człowieka, sterczały tu i ówdzie na skrajach ran-rozpadlin. Zdało się, że trzymają się usilnie, rozpacznie swego podłoża, niepewne czy chwila następna nie zabierze ich stąd kędyś daleko na śmierć nieuniknioną. Wielkie, rozsypane ciemne jaskinie, gdzie padły granaty, zdały się porozpoczynanymi przez jakiegoś oszalałego architekta fundamentami niezmiernego gmachu, świątyni Jutra. Okolicę tę wydzierano sobie wzajem od całych tygodni, a front bojowy przeginał się bezustanku konwulsyjnie w rozmaite strony, jak żmija nieprawdopodobnych rozmiarów, gryząca wszystko wokół, nawet ziemię. Jakby powypluwane przez nią resztki żeru, leżały tu i ówdzie zniekształcone trupy domostw, stały jakieś tragiczne kopce, strzegące bez-

pańskich włości, dęły się niby wrzody na skórze chorej ziemi wypukliny, kretowiska, pazurami potwornego, drażącego głąb zwierza na wierzch powyrzucane. Zdało się, że sama ziemia w ataku szaleńczym drze paznokciami własne piersi, a górą, niby widzialny opar wielkiej gorączki, unosiły się strzępy sinego, cuchnącego kwasem azotowym dymu, poprzez którą to firankę rudziła dal żalobna.

Nad urwiskiem, brzężącym niewidzialną, głęboko w grunt zarytą rzekę, sterczały w odległości kilkuset kroków odarte z grubszych konarów i gałęzi listnych drzewa, a z poza nich wysunął się właśnie ciężko obladowany wóz.

Tył jego zajmowały wielkie skrzynie, przewiązane sznurem, na przodzie tuliło się kilka czarnych postaci. Żydzi wieźli towary do miasta.

— Za późno! — jęknęło mi w piersiach. I tak było rzeczywiście. Nie zdążyłem wrócić dzisiaj pomiędzy jedną a drugą bitwą. Tam, kędy ginęła szara linia gościńca, właśnie w miejscu, ku któremu zdążyłem, zaczęły wykwitać białe, krągłe, dobrze znane obłoczki, a huk armatni rozdudnił się w powietrzu.

Ośm strzałów... potem cisza. Dalej, jakby rehot żab w wielkim stawisku. I znowu ośm wstrząśnięć, od których szarpie cię we wszystkich nerwach. A potem... już nieustający rehot. Rozpoczynała się zwyczajna dysputa haubic z „pulemiotami“. W tyle miałem haubice, przed sobą karabiny maszynowe, nad sobą sieć straszliwą, w której oczkach zginąby musiał najmniejszy ptak. A iść musiałem ku „pulemiotom“, gdyż tam, pod łukiem ich strzałów leżało miasto.

Błysnęło mi w myśli, że muszę koniecznie dostać się

do wozu i złożyć na nim blaszankę... zresztą bodaj czepić się go rękami... czuć bodaj, że nie jestem sam na tej piekielnej równi. Puściłem się tedy biegiem, ale w tej chwili huknęło mi nad głową.

— „Za krótki“ — pomyślałem. Haubice widocznie dopiero „macały“ pozycję „pulemiotów“.

Biegłem z najwyższym wysiłkiem do jakiego byłem zdolny.

Nagle rozległo się dudnienie kopyt końskich po okrągłakach, którymi z reguły naprawiano na prędcie zbyt wielkie wyboje drogi lub zarzucano przecinające ją transeje.

Woznica wstał i zaczął z całej siły smagać grzbiety koni, które ruszyły gwałtownym ale bezcelowym, krótkotrwałym galopem szkap fiakerskich.

Za chwilę wehikuł obskoczyli Kubańcy.

Poznałem ich doskonale po powiewających z tyłu końcach baszłyków, rozwianych połach czerkiesek i wysokich czapach.

— Dawaj skariej loszadi! — wrzasnął któryś do furmana i najechał na zaprzęg tak, że dyszel znalazł się nad samym rowem.

— Izwienitie gaspadin. U mienia jest propusk.. gradonaczalskij propusk! — tłumaczył jakiś głos.

— Tak niczewo... dawaj skariej... Ty jewrej...

— Ja nie jewrej... jej Bogu nie jewrej! O... posmotritie gaspadin aficier...

Uczył na piersiach kilkakrotnie znak krzyża.

— A... mierzawiec!.. Małczy... pajdiosz na wisielicu! Ty jewrej! Kanieczno jewrej... Dawaj diengi kak ty nie jewrej... Nu, skariej!

Rozpoczął się targ, podczas którego jeden z Kubańców dłubał kindzalem w tylnej pace w celu zbadania co tam jest.

— Wodka! — krzyknął nagle. — Wojenna kontrabanda jest... Jej Bohu!

Tymczasem rozpoczęto się na przodzie wozu szamotać, gdyż pierwszy kozak wyrwał jednemu z żydów cały pularek.

Wśród tego, stojący z boku żołnierz, dla rozruszania się, porwał siedzącego dotąd spokojnie podróżnego za kark, wyciągnął go z wozu i rzucił na ziemię.

Padł jak łachman, ale porwał się zaraz i zaczął uciekać.

— Szpion!... Kontrabandist!... — krzyknął oficer. Dawaj jewo!

Dwu Kubańców ruszyło za zbiegiem i poczęły pukać z karabinów.

Połowanie trwało krótko, uciekający padł po kilku krokach.

Tymczasem na siedzących we wozie spadł grad nahałek. Rozległy się jęki, jakieś, ukryte pomiędzy podróżnymi dziecko darło się przeraźliwie.

Kule świstały jak grad padający z wysokiej chmury. Powietrze rozdzierały skowytły przebiegających szrapneli. Huk i wrzaski spływały w jedną straszną nutę. Powietrze tętniło miarowo, okropnie, każdy nerw drżał w takt tego dudnienia.

Położyłem się na ziemi i patrzyłem w niebo. Przystałem myśleć.

Kozacy widocznie zabrali wszystkich razem z wozem dla dokończenia egzekucji w mieście, bo głosy poczęły

się oddalać, aż przepadły gdzieś. Zostałem sam, sam jeden pod kopułą ruchomą, przeraźną, uczynioną z przelatujących pocisków.

Nie myślałem, a czułem, że wargi moje szepcą:

— Stąd wedle ciebie tysiąc głów poleże...

Stąd drugi tysiąc, ciebie nie dosięże.

Miecz nieuchronny...

Ale pewny, że jest to już nieuchronne, czekałem tylko, kiedy się stanie, co się ma stać. Huk przycichł, raczej przygłuchł nieco. Nad sobą widziałem niebo, dokoła brudno — żółte ściany ziemne. Widocznie wpadłem w dół wybity granatem. Blaszanka leżała koło mnie. Nie otwarła się nawet pokrywa. Mleko pewnie było wewnątrz. Ale za skarby świata nie byłbym wstał, ani wyciągnął ręki, aby się o tem przekonać.

Czułem się dobrze, tylko w lewej nodze coś mnie piekło.

Nic strasznego. Poprostu coś mnie piekło w okolicy kostki i było jakoś gorąco.

— Acha! — pomyślałem. — No to dobrze.

Wiedziałem przecież, że ostatecznie jakaś kula z pomiędzy setek tysięcy musi mnie trafić.

Zresztą uczyniła to w sposób bardzo oględny, tak oględny, że aż dziwne.

Teraz szło tylko o to, by się dostać do domu... ale o tem potem. Tak mi dobrze przecież, tak spokojnie. I najważniejsze, że nie nie widać. Kawalek nieba i nic.

Ogarnął mnie wielki optymizm. Nawet myśl, że niepokoją się o mnie w domu, nie spłoszyła nastroju. Przyszło mi na myśl, że zapewne sądzą, iż z powodu bitwy nie rozpocząłem drogi powrotnej do miasta. I na tem koniec. Ileż to razy chodziłem po wiktuały... Bagatela... Tylko jak ja się dostanę do domu... Hm. Ale teraz spijmy. Spać mi się chciało bardzo... — Znaczny wpływ — majaczyła mi w głowie. Dlatego senność. Ale ponieważ żyję, uczynić się musiał skrzep. Tak... tak... to nic... to nic. A zatem...tak to prawda... to nie był jewrej... Poznałem go gdy biegł. To niezawodnie Eliaszewicz. Tak, to on. Biedaczka... Dwoje dzieci...

Potem się wszystko zmąciło. Widziałem jeszcze twarzyczki dzieci zabitego, jego pierścionek z herbem tyle razy oglądany, wreszcie straciłem świadomość.

Zbudziło mnie uderzenie. Coś się na mnie stoczyło z góry, potem legło tuż obok z jękiem.

Usiadłem, ale zaraz musiałem ledz skutkiem wielkiego bólu w nodze.

To coś, czego nie mogłem rozpoznać skutkiem mroku, jęczało. Słów niepodobna było rozpoznać. Ale ranny mówił coś. Nademną był wielki wrzask. Rozlegały się okrzyki, migąło na szafirowym tle nieba mnóstwo nóg. Widziałem krzyżujące się w powietrzu „sztyki“, cofające się i znów wysuwające ręce...

Nagle spadł karabin z bagnetem i zarył się o dwie może stopy od mego boku, samym końcem utkwivszy w ziemi.

Huku armat nie było słyhać. Przyciszony grzechot karabinów maszynowych grał ludzaco żabim głosem. Na prawą ścianę dołu padała smuga światła księżycowego.

Oto com spostrzegł zrazu. Człowiek obok mnie leżący jęczał dalej, wymawiając jakieś słowa w nieznanym mi języku.

Dok. nast.